

Stambuł: anatomia

Elif Şafak pisała o Stambule, że „żyje i aby żyć, musi się stale oczyszczać. Jak człowiek wyrzuca z siebie cuchnące gazy, ścieki przyprawiające o mdłości, ekskrementy, wymiociny, flegmę, oczyszczając w ten sposób swoje zmęczone, dokuczliwe ciało. Odprowadza do śmietników ropę ze swych gnijących ran”.¹ Gdybyśmy, idąc za podszeptami pisarki, wyobrazili sobie, że Stambuł jest takim żywym organizmem, monstualnym, żarłocznym, nigdy nienasyconym cielskiem, okolicę, o których chcę opowiedzieć, byłyby ropiejącymi ranami, niechęcącymi się zbliżyć i wydającymi trupi odór. Jeśli, idąc dalej tym tropem, przedstawimy sobie nadbosforską metropolię jako byt zdolny czuć i myśleć, te miejsca będą dlań wyrzutami sumienia, których pomimo starań nie sposób wytłumić. Mowa tu będzie o miejscach „złych”, od kilkudziesięciu lat kłujących oko i drażniących nozdrza. Miejscach, których być nie powinno.

Opowiem o dwóch różnych okolicach: dzielnicach Sulukule i Tarlabası. Obie traktowano antyseptykami, próbowano zakleić szczelnie plastrem lub choćby przypudrować, by ukryć je przed wzrokiem przypadkowych gapiów, aż wreszcie wycięto niczym wrzody, by przeszczepić zamiast nich świeżą miejską tkankę. Obie, mimo historycznych i genealogicznych różnic, łączy jedno: są jak wieszczące chorobę znamiona, których Stambuł chciałby możliwie prędko się pozbyć.

Tak to już jest z metaforami, że bywają zdradliwe – pozwalają uwypuklić pewne rysy zjawiska, które ilustrują, podać je w płodnym poznawczo zagęszczeniu; równie dobrze mogą jednak zaprowadzić w ślepią uliczkę nietrafionej lub, co gorsza, krzywdzącej interpretacji. W kontekście miejsc, o których chcę opowiedzieć, to nie bez znaczenia, potrzebne jest więc słowo komentarza. Myśląc o Tarlabası i Sulukule jako o gangrenach toczących stambulskie ciało, odwołuję się do solidnie ugruntowanej miejskiej mitologii, czarnej legendy narosłej wokół tych okolic w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat i konsekwentnie utrwalanej w wewnątrzmiejskim dyskursie. Kto w typowym dla turysty uniesieniu, dumny z poczynionego odkrycia (ta malownicza nędza, ta farba oblażąca, to mrowie ludzi niewyględnych, ten smród!), wspomni przeciętnemu stambulczykowi, że się tam zapuścił, niechaj przygotowuje się na gromy oburzenia, spojrzenia pełne niesmaku lub, w wersji minimum, wyrazy szczerzej troski. Nic, chciałoby się rzec, nowego w tej podróżniczej ekscytacji – przynajmniej od czasów wypraw dziewiętnastowiecznych orientalistów po to jeździło się nad Bosfor, żeby otrzeć się o murszejące mury, podejrzeć inność w możliwie najradykałniejszej formie;² pamiętajmy, że przyprawione szczyptą entropii, dania wschodniej kuchni zawsze smakowały lepiej. I nic, chciałoby się rzec, dziwnego w sprzeciwie tubylców wobec voyeryzmu gorliwego turysty, który zapuszcza

JUSTYNA CHMIELEWSKA

Stambuł i jego rany

się tam, gdzie nie powinien – przynajmniej od czasów rewolucji kulturalnej Mustafy Kemala Atatürka, a więc od lat dwudziestych XX wieku, dominującą narracją Turków o sobie samych była hurraoptymistyczna wizja szybkiej modernizacji, zmiatającej zalegające na drodze przeszkody.

I tu natrafiamy na podstawowy problem z „chorobliwą” metaforą: mimo że nieźle oddaje *genius loci* i narosła wokół niego narrację, powieła równocześnie argumenty „miejskich higienistów”, od lat chcących „wyleczyć” Stambuł z tych osobliwych dolegliwości. Drogą wyjścia z interpretacyjnego impasu mogłoby być wsłuchanie się w głosy mieszkańców opisywanych tu okolic, wrażliwa politycznie i społecznie oddolna lektura kondycji ludzi poddanych wielorakiemu wykluczeniu, przyszpilonych na marginesie miejskiego życia. Do tego jednak potrzebne byłyby źródła. Ich brak jest symptomatyczny – jeśli prześledzić stambulski tekst miejski, Tarlabası i Sulukule są w nim właściwie nieobecne. Wyjątek stanowić mogą coraz mocniej słyszalne wołania aktywistów zaangażowanych w protesty przeciwko dokonywanym w tych dzielnicach radykalnym zmianom (można by wręcz rzec: wiwisekcji) – te jednak są zbyt mocno upolitycznione i nastawione na realizację zbyt doraźnych celów, by w pełni je tu włączyć.³

Pozostając przy wyjściowej metaforze, chciałabym wskazać na kryjącą się w niej pułapkę: myśląc o Stambule i interpretując jego zawiłą historię, można ją potraktować jako soczewkę pozwalającą dostrzec kontury specyficznego wizerunku interesujących mnie okolic; równie często bywa jednak stosowana jako narzędzie planowania i uprawiania wykluczającej, dość brutalnej polityki miejskiej. Oba użycia są ze sobą nierozzerwalnie splecione – i od tych konotacji raczej nie uda mi się uciec. Mowa tu będzie o miejscach, które w potocznym wyobrażeniu nie zasługują na to miano i które, aby stały się „miejscami” w pożądanym kształcie, należy zrównać z ziemią i stworzyć od nowa.

Sulukule: puls

Gdy wybrałam się tam po raz pierwszy, Sulukule było już tylko cieniem swej dawnej postaci, już było

poważnie chore. Wzdłuż pnących się w górę od zatoki Złoty Róg, grubych na parę metrów murów, zbudowanych w 447 roku na rozkaz cesarza Teodozjusza II i mających strzec Konstantynopol przed zakusami wrogów, szwendały się bezpańskie psy, a po pamiętających czasy Bizancjum kamieniach biegały dzieciaki o ciemnej karnacji, w obdartych ciuchach i za dużych butach. W założach ponadtyśiącletnich fortyfikacji natrafiłam na kartony, cuchnące koldry i plastikowe torby pełne powyciąganych ze śmietników skarbów: tu swoje domy tworzyli ci, którzy nie mają domu lub zostali go pozbawieni. Nieopodal miejsca, w którym sułtan Mehmet II, zwany później Zdobywcą, zdołał przedrzeć się przez mur, by na czele hordy żołnierzy podbić w 1453 roku Miasto Miast, kończąc erę panowania bizantyjskich cesarzy, kilkudziesięciu mężczyzn paliło papierosy, z uwagą zaglądając do porozstawianych na przerzedzonej trawie klatek i pudeł: trwał tam właśnie targ gołębi, rzecz jak na Sztambuł dość egzotyczna.

Na przedmurzu, po wewnętrznej stronie fortyfikacji, ciągnęły się rzędy lichych domków o nierównych ścianach i zapadniętych dachach, gdzieś tam biegały kury; im wyżej szłam w górę zbocza i im dalej odchodziłam od wód Złotego Rogu, tym bardziej przygnębiające było otoczenie, tym ciężiej było patrzeć wokół, tym większą wrogość dostrzegałam w spojrzeniach napotykanym ludzi. W końcu dotarłam do miejsca, o którym tylekroć słyszałam i wokół którego od kilku miesięcy toczyła się gorąca dyskusja – za kilkupasmową jezdnią i ponurym gmaszyskiem remontowanego od kilku lat meczetu czekało Sulukule, lub raczej to, co z niego zostało.

Dawniej, jak słyszałam i czytałam, to miejsce wyglądało inaczej. Nigdy nie było bogate ani przesadnie nowoczesne, ale przez setki lat tętniło życiem, wibrowało dźwiękiem, rozbrzmiewało śmiechem. Romowie, za sprawą których zawsze panował tu tyleż bałagan, co wesoły harmider, mieszkali w okolicy już od czasów bizantyjskich, a od XV wieku, na mocy sułtańskiego zarządzenia zezwalającego budować tu domy Cyganom wędrującym po imperium osmańskim, dzielnica zaczęła rosnąć w siłę, będąc do niedawna najdłużej stale zamieszkanym przez osiadłych Romów zakątkiem świata.⁴ Sulukule zasłynęło jako kolebka ulicznych grajków, weselnych muzykantów i kapel zdolnych ożywić najbardziej drętwe przyjęcie. Zajmowały się tym całe rodziny – dzieciaki od najmłodszych lat wprawiały się w grze na klarnetach, tamburynach, darbukach i skrzypcach, by po latach uzyskać swoiste mistrzostwo, niebędące efektem starannej edukacji i sumiennych ćwiczeń, lecz raczej stanowiące owoc samorodnego talentu mieszkających tu ludzi i wynikające z działania szczególnego ducha miejsca – miejsca, w którym grał każdy i przez stulecia wszystko grało.

Po raz pierwszy przestało grać w 1992 roku, gdy nakazem władz miejskich zamknięto działające tu od

kilkudziesięciu lat słynne cygańskie knajpy, zwane *devriye evleri*. Wieczorami można w nich było posłuchać koncertu, wypić szklankę anyżówki i obejrzeć występ czarnowłosych piękności, mistrzyń tańca brzucha; w tłustych latach klienci zjeżdżali się tu z całego miasta. Mimo to – lub może właśnie ze względu na owe otwarte do późna lokale, w których *raki* lała się ponoć strumieniami – już wtedy Sulukule przez wielu traktowane było jak bolesny wrzód. Owo wrażenie dyskomfortu z czasem tylko się pogłębiało, w miarę jak romskie osiedle pogrążało się w nędzy. Wraz z likwidacją szynków spora część mieszkańców okolicy, zatrudnionych tam jako muzycy, tancerze, naganiacze, kucharze, kelnerzy, dostawcy i taksówkarze, straciła bowiem pracę i została zmuszona szukać środków do życia gdzie tylko się dało. Podobno właśnie wtedy na krętych uliczkach sąsiadujących z bizantyjskim murem pojawiły się prostytutki, podobno dopiero wtedy pod osłoną nocy swoje szemrane interesy zaczęli tu robić dilerzy, może właśnie wtedy dzieciaki ruszyły w miasto z często dwukrotnie większymi od nich wózkami na złom i znajdowane na śmietnikach szpargały. O ile dotąd Sulukule miało ambiwalentną sławę miejsca osobliwego – bo etnicznie obcego, odrębnego pod względem tradycji i obyczajowości, ale zarazem pociągającego i pulsującego własnym, egzotycznym rytmem – o tyle teraz otrzymało jednoznacznie złą etykietkę okolicy, od której lepiej trzymać się z daleka.

Fatih: spacer

Decyzję o likwidacji cygańskich knajp, tych podejrzanych miejsc wszelakich uciech, oficjalnie motywowano względami ekonomicznymi i podatkowymi. Nie bez znaczenia była tu też jednak postępująca zmiana charakteru najbliższego otoczenia – dzielnica Fatih, której część stanowiły romskie osiedla, rosła wówczas w siłę, stając się niebawem jednym z najbardziej konserwatywnych muzułmańskich sąsiedztw w Sztambule.

Tu warto zrobić dygresję, która pozwoli czytelnikowi nieco lepiej zorientować się w historycznej mapie okolicy. Otóż na terenie Fatihu, czyli części miasta rozciągającej się wzdłuż północnego brzegu Złotego Rogu, sięgającej od starówki, a więc okolic Wielkiego Bazaru, Ayi Sofyi i tak zwanego Błękitnego Meczetu na wschodzie, po bizantyjskie mury miejskie, a więc rejony Sulukule, Edirnekapi i Ayvansaray na zachodzie, znajdują się jedne z najlepiej zachowanych partii historycznej zabudowy Sztambułu. Przetrwały tam charakterystyczne drewniane osmańskie domy – te same, wśród których błąkał się nastoletni Orhan Pamuk, poszukując odpowiedniej scenerii dla ogarniającej jego młodego ducha sztambulskiej melancholii, słynnego *hüzün*.⁵ Tak pisał o tych wyprawach: „Chcąc dostrzec przypadkowość tego piękna, które powstało z mieszaniny ruin, drzew i traw, trzeba być tutaj obcym. Zburzone mury, zamknięte na rozkaz władz



Sulukule, 2007-2012, fot. Justyna Chmielewska.



Sulukule, 2008, fot. Justyna Chmielewska.

siedziby zakonów, nieczynne ujęcia wody, fabryka opuszczona osiemdziesiąt lat temu, chałupy z niekształtnymi dachami, wykuszami i futrynami porzucone przez prześladowanych Greków, Ormian i Żydów oraz budynki, które pokładają się na boki, każdy w inną stronę, jakby chciały jeszcze bardziej pogłębić całą okolicę (albo wtulające się jeden w drugi, jak lubią rysować karykaturzyści)... Żaden z tych widoków nie budzi w ludziach, którzy tu mieszkają, zachwyty, lecz apatię podsycaną przez smutek porzucenia. Ci, którzy czerpią przyjemność z widoku przypadkowego piękna nędzy i historycznego rozkładu, muszą przybywać z zewnątrz”.⁶

I przybywali przynajmniej od połowy XIX wieku, odkąd zaczęła się „moda” na ten szczególny rodzaj turystyki, każącej wybierać jako cel wypraw miejsca entropiczne, upadłe, chore. Przed noblistą po historycznym Fatihi włóczyli się dziewiętnastowieczny romantyczny poszukiwacz orientalnych przygód Théophile Gautier i, na początku XX wieku, wielcy autorzy tekstu stambulskiego: Ahmet Hamdi Tanpınar i Yahya Kemal. Od lat pięćdziesiątych często zaglądał tu też słynny fotograf Ara Güler.

Dziś ciężko podczas takich miejskich włóczęg dotrzeć choćby do wspomnień po dawnych mieszkańcach – Grekach, Ormianach i Żydach, tłumnie zamieszkujących niegdyś sąsiedztwa Fener i Balat. Spacerując po pnących się w górę i biegnących ostro w dół brukowanych uliczkach, co kilkaset metrów

natrafia się wprawdzie na ślady tej dawno przebrzmiałej historii – kościoły, cerkwie i synagogi – skryte są one jednak za wysokimi murami i zasiekami z drutu, strzeżone przez czujne oczy kamer i właściwie niedostępne dla ciekawskich przechodniów. O wielokulturowej przeszłości świadczą jeszcze obco brzmiące nazwy ulic i sąsiedztw, jednak niewiele więcej pozostało z dawnego tygla języków, religii i zwyczajów. Romowie z Sulukule świetnie wpisywali się w tę tak typową dla dawnego Fatihi mieszkankę; dziś, gdy wspomnienia po innych nietureckich i niemuzułmańskich mieszkańcach okolicy bledną coraz bardziej (któż miałby ich wspominać i po co?), okazuje się, że także dla stambulskich Cyganów – którzy, było nie było, mieszkali tu znacznie dłużej niż Turcy – zaczyna brakować miejsca.

Część opisywanej tu okolicy – w tym teodozjańskie fortyfikacje, na których zwykły bawić się cygańskie dzieciaki – trafiła w 1995 roku na listę UNESCO jako część światowego dziedzictwa warta szczególnej uwagi i ochrony. Nic dziwnego: zachowały się tu nie tylko stare osmańskie domy, ale też unikatowe zabytki; warto wspomnieć choćby oddaloną o niespełna kilometr od Sulukule Chorę (tur. Kariye) – kościół, przekształcony po podboju Konstantynopola na meczet, a następnie na muzeum, na którego sklepieniu wciąż oglądać można świetnie zachowane mozaiki i freski z czasów bizantyjskich. Kariye zawsze ciekawiło mnie także z innego powodu – w miarę jak rozwijał się przemysł turystyczny, wokół świątyni, wci-

śniętej pomiędzy nędzne domki, powstał rodzaj sztucznej wyspy, cepeliowskiej iluzji. Turyści, dowożeni na miejsce autokarami (choć to zaledwie pół godziny spacerem od Złotego Rogu i niewiele dalej od innego „obowiązkowego” zabytku, szesnastowiecznego meczetu Süleymaniye), mogą mieć wrażenie, że nadal są pod Ayą Sofią – przystojni młodzieńcy, potrafiący zagadnąć w każdym języku i przyciągnąć uwagę przybywa z każdego spośród krajów Pierwszego Świata, wciskają im tu te same co na starówce (i te same co w Kapadocji, i Efezie, i Pamukkale, i na całym turystycznym szlaku...) magnesy na lodówkę malowane w błękitno-czerwone tulipany, zestawy orientalnych przypraw i szklane „oczy proroka”, błękitno-białe wisioriki zdolne odwrócić złe spojrzenie, obowiązkowe gadżety przywożone z wycieczek po Anatolii. Nic w tym dziwnego – Turcy nie od dziś wiedzą, że na milionach turystów odwiedzających co roku Stambuł można świetnie zarobić; sęk w tym, że „strefa buforowa” otaczająca Kariye, to symulakrum lepszego świata, ten niepasujący do niczego dokoła stragan z pamiątkami, sięga bardzo płytko – zaledwie kilkadziesiąt metrów od dawnego kościoła życie wraca do tutejszej ponurej normy. Kariye szczególnie otaczają slumsy.

Taki stan rzeczy od lat nie daje spokoju rządzącym – „marnuje się” tu kawał miasta, całe hektary doskonale ulokowanych gruntów, na których można by nieźle zarobić, przy okazji zmieniając wizerunek i podnosząc prestiż całej okolicy. By móc zabrać się do roboty, pozbyć tego rozlewającego się coraz szerzej wrzodu, potrzebna była diagnoza specjalisty oraz odpowiednio sformułowane wskazania dotyczące leczenia.

Sulukule: transplantacja

Decyzja o konieczności dokonania zabiegu zapadła w 2005 roku – przyjęto wówczas kontrowersyjną ustawę nr 5366, na mocy której władze miejskie zyskiwały właściwie nieograniczone prawo do ingerencji w miejską tkankę w ramach „renowacji i ochrony niszczonej historycznej zabudowy”. W kolejnych latach uchyliło to furtkę do wielu nadużyć, przede wszystkim wobec lokatorów eksmitowanych z domów objętych planem rewitalizacji. Scenariusz wszędzie był podobny: powołując się na względy bezpieczeństwa (zły stan techniczny budynków, zagrożenie w przypadku trzęsienia ziemi, fatalne warunki sanitarne, nieuregulowane kwestie własności), zmuszano lokatorów do sprzedaży zajmowanych dotąd mieszkań po arbitralnie ustalonej cenie lub oferowano im mieszkania w innej części miasta na pozornie preferencyjnych warunkach. Następnie przystępowano do robót „rewitalizacyjnych”, które w większości przypadków oznaczały wyburzenie istniejącej zabudowy i zastąpienie jej historyzującą repliką. Czy trzeba wspominać, że cena za metr kwadratowy po zakończeniu operacji szczyłowała w górę, przynosząc inwestorom krociowe zyski? W przypadku Sulukule wzrosła dziesięciokrotnie.

Romskie sąsiedztwo było jednym z pierwszych obszarów, na których testowano skuteczność tej jakże obiecującej terapii. Teoretycznie zabieg powinien był pójść gładko – wycinano przecież z mapy miejsce zapuszczone, nędzne, w dodatku zamieszkane przez kulturowo obce ciała, ludzi powiązanych wprowadzie między sobą mocnymi więziami solidarności i braterstwa, lecz słabo skoligaconych z resztą społeczeństwa. Jedynym argumentem przemawiającym na korzyść lokalnych Romów była niemal tysiącletnia historia zamieszkiwania tych okolic; to nie wystarczyło, by odwieść TOKI,⁷ wszechpotężny Zarząd Budownictwa i Domów Komunalnych, od realizacji planu.

Gdy po raz pierwszy trafiłam do Sulukule jesienią 2007 roku, stało tam jeszcze kilka domów. Inne, przeznaczone do wyburzenia, lecz nadal zamieszkałe, w ramach dość perfidnej „akcji perswazyjnej” oznaczono czerwonym znakiem X; w kolejnych budynkach stopniowo odcinano dostawy gazu, wody i elektryczności, a niektóre działki, już przygotowane do operacji, ogrodzono blaszanym płotem. Wkrótce do roboty zabrały się buldożery, a prasę obiegły wstrząsające zdjęcia rodzin okupujących na pół zburzone domy. Choć błyskawicznie zawiązały się obywatelskie ruchy obrony Sulukule,⁸ pierwszych trzydzieści pięć budynków zrównano z ziemią jeszcze w 2007 roku. Ostatni legł w gruzach dwa lata później.

Mimo to wokół wciąż koczowało wielu spośród dawnych mieszkańców – ci, którzy nie pogodzili się z eksmisją, rozbili w pobliżu zamieszkiwanych od dziada pradziada posesji namioty, pobudowali szałas z dykty, folii i desek, wciąż licząc na to, że uda im się odwrócić zły los. Otrzymali co prawda od władz miejskich propozycję przeprowadzki do niesławnego Taşoluk – ponurego blokowiska położonego pośrodku pustkowia, ponad czterdzieści kilometrów od centrum Stambułu, jednak znakomitej większości przesiedleńców nie było stać ani na opłacenie niewysokiego co prawda, lecz nadal znacznie wyższego niż Sulukule, czynszu, ani tym bardziej na wielogodzinne podróże autobusami do śródmieścia, jedyne miejsce, gdzie potrafili znaleźć choćby dorywczą pracę. Romowie znaleźli się nagle w przerażającym nie-miejscu, getcie jeszcze gorszym niż przed przeprowadzką – wyrwani z sąsiedztwa, w którym się urodzili, z podciętymi korzeniami, w martwej przestrzeni dalekich podrzędnych suburbi. Spośród ponad trzystu wysiedlonych rodzin do dziś pozostało w Taşoluk zaledwie kilkanaście osób. Reszta wróciła w dawne, choć nie dla nich już przeznaczone okolice, mieszkając kątem u znajomych, wynajmując nędzne sutereny, budując biedadomki lub zajmując pustostany.

Gdy wróciłam do Sulukule w roku 2010, rekonstrukcja miejskiej tkanki trwała już na dobre. Czy może nie rekonstrukcja, lecz raczej pieczołowita realizacja fantazji o tym, jak mogłoby wyglądać to sąsiedztwo, gdyby historia potoczyła się tu inaczej, gdyby nie deka-

dy ubóstwa i stopniowej degeneracji. Wzdłuż bizantyjskich murów powstało luksusowe osiedle niskich domów o śnieżnobiałych fasadach i elewacjach zdobionych drewnem przywodzącym na myśl zabudowę osmańskiej starówki, z typowymi dla uliczek dawnego Fatihu wykuszami, lecz w wydaniu nowym, nowoczesnym, znacznie poprawionym.

Operacja pozornie się udała: Sztambuł pozbył się kolejnego wrzodu, nowo przeszczepiona miejska skóra jest jędrna i pewnie wkrótce zrośnie się z resztą okolicy, choć szwy wyraźnie widoczne w krajobrazie dawnego Sulukule nie pozwalają zapomnieć, że sterylne osiedle dla bogatszej klasy średniej to efekt intensywnych prac chirurgów plastycznych, a nie prawdziwa sztambulska tkanka. Sukces zabiegu zachęcił coraz bardziej pysznych miejskich włodarzy do kolejnych eksperymentów w tej dziedzinie; zejźmy w dół po stromym zboczu i przepłynijmy po wodach Złotego Rogu do innej części miasta, gdzie podobny stan zapalny postanowiono wyleczyć tą samą metodą.

Tarlabaşı: czas

Przeprawiwszy się przez zatokę, zejźmy z pokładu jednego z ulubionych przez Pamukę promów lub którejś z kursujących po zatoce chyboliwych łódek w Karaköy, przejdźmy przez słynny targ rybny, a następnie przespacerujmy po kilku uliczkach od lat zaanektowanych przez handlarzy rybacko-marynarskimi akcesoriami. Stamtąd skierujmy się na północny zachód, by po kilkunastu minutach wspinaczki po stromym zboczu i przecięciu kilkupasmojowej jezdni trafić do Tarlabaşı – miejsca, które w ostatnich latach stało się sceną historii równie ponurej jak ta z Sulukule.

Historia dzielnicy sięga XVI wieku – po tym, jak w 1535 roku sułtan udzielił niemuzułmańskim dyplomatom zgody na osiedlanie się w Konstantynopolu, na północnym brzegu Złotego Rogu, w okolicach Galaty, a następnie Pery zaczęły powstawać osady Lewantyńczyków oraz osmańskich Greków, Ormian i Żydów. Z czasem miasto zaczęło rozlewać się po zachodnim stoku wzgórza, spływać w dół w stronę doliny Dolapdere; wówczas powstało pierwsze, drewniane Tarlabaşı – o zabudowie skromniejszej niż w rejonie reprezentacyjnej Grande Rue de Péra, zamieszkaną przez ludzi biedniejszych i o niższym statusie.

Pora na małą „chorobliwą” dygresję. To tu właśnie w czasie swej emigracyjnej tułaczki (trwa wojna krymska) osiadł na krótko Adam Mickiewicz; najpierw, we wrześniu 1855 roku, w klasztorze lazarystów na Galacie, następnie w hotelu Luksemburg i ostatecznie w nędznym drewnianym domu u podnóża stromego zbocza, przy ulicy Słodkich Migdałów. „Pokój trącił pustkowiem, był ciemny i nawet wilgotny, przypominał mi nasze karczemne izby, jakie czasem w jesiennej podróży zastajemy po szlakach ukraińskich” – zanotował po odwiedzinach Tadeusz Padalica.⁹ Poeta przybył

z polityczną misją – spotykał się ze sturczonymi rodakami, odwiedził obozowisko osmańskich Kozaków w Burgas i, zafascynowany frankizmem, snuł plany stworzenia legionu żydowskiego, który miałby wspomóc Polaków w walce z zaborcą. Konstantynopoliński epizod potrwał krótko: rankiem 26 listopada Mickiewicz zaniemógł, po kilku godzinach („o trzy kwadranse na dziewiątą w wieczór”¹⁰) już nie żył. „Nie była to choroba, ale piorun” – pisał w liście do ks. Adama Czartoryskiego pomocnik wieszczą Henryk Szułski.¹¹ Przyczyny nagłej śmierci budzą kontrowersje; polski lekarz, „dentysta, pedykur z Warszawy” Gembicki zaświadczył, że „pan Adam Mickiewicz zmarł na jego rękach – 26 listopada 1855 – na skomplikowaną chorobę z wylewem krwi do mózgu”.¹² Podejrzewano cholere, lecz nie wolno było na głos wypowiedzieć tej diagnozy, gdyż uniemożliwiłoby to wywóz ciała do Francji; mówiono o arseniku – politykujący poeta miał wrogów, czasy były burzliwe, a miejsce groźnie obce. Stało więc na sformułowaniu tyleż bezpiecznym, co enigmatycznym. Ciało ubrano w ulubione futro, na głowę założono niebieską konfederatkę, fotograf zrobił ikoniczne ujęcie, zdjęto gipsowy odcisk rysów martwej twarzy. Nazajutrz zwłoki zabalsamowano, przykryto całunem, obłożono ziołami i zamknięto w trzech kolejnych trumnach (wpierw w cynkowej, tę zaś w dwóch następnych, już drewnianych), i niebawem wyprawiono statkiem przez Morze Śródziemne do Marsylii oraz dalej, już lądem, do Paryża. Poetę pochowano na cmentarzu w Montmorency, by po z górą trzydziestu latach, w roku 1890, przenieść je na Wawel.

Dom, w którym skonał Mickiewicz, spłonął w pożarze w czerwcu 1870 roku. Ogień szalał przez trzynaście godzin i strawił trzy tysiące budynków. Wybuchł w okolicach placu Taksim, lecz wkrótce wiatr zepchnął pożogę na południowy zachód, w stronę doliny, niszcząc także Perę, Galatasaray i Tarlabaşı.¹³ Większość domów była tam drewniana, a uliczki wąskie, płomienie pochłaniały więc kwartał za kwartałem. Orhan Pamuk tę „łatwopalność” traktuje wręcz jako charakterystyczny rys miasta: „Dzieje Sztambułu to dzieje pożarów i wyburzeń. Drewniane budynki zaczęto wznosić na szerszą skalę w drugiej połowie szesnastego wieku, co oznacza, że do końca pierwszej ćwierci wieku dwudziestego, czyli przez ponad trzysta pięćdziesiąt lat, tym, co nadawało kształt miastu, wytyczało nowy przebieg ulic i alei był – oprócz budów wielkich meczetów – ogień”.¹⁴ Gdzie indziej noblista napomyka, że obserwowanie owych widowisk, jakie z ponurą regularnością serwowały sztambulczykom płomienie, było ulubionym zajęciem osmańskich paszów: „Gdy tylko ktoś zawołał: «Pożar!», wskakiwali do powozów i pędzili na miejsce tragedii, zabierając z sobą przedmioty chroniące przed chłodem: koce, futra, a nawet – spodziewając się, że spektakl może potrwać dłużej – jedze-



Tarlabası, Muzeum Adama Mickiewicza, 2012, fot. Justyna Chmielewska.

nie i naczynia do parzenia kawy”.¹⁵ Uwielbiali je także bawiący nad Bosforem zachodni podróżnicy – pożar wytwórni farb nad Złotym Rogiem w 1852 roku Théophile Gautier określić miał jako „niewymownie piękny widok”.¹⁶ Ciekawe, czy Tarlabası płonęło równie efektownie.

„Oczyściwszy” pole, pożoga utorowała drogę do budowy dzielnicy w takim mniej więcej kształcie, w jakim znamy ją obecnie. Powstające pod koniec XIX i na początku XX wieku czteropiętrowe wąskie kamienice z wykuszami, w tzw. stylu lewantyńskim, rychło stały się domem dla tysięcy osmańskich Greków, Ormian i Żydów, głównie rzemieślników, handlarzy i niższych rangą pracowników placówek dyplomatycznych, ulokowanych skądinąd nieopodal, w Perze. Tak ugruntował się charakter Tarlabası jako dzielnicy kulturowych „obcych” (choć trzeba pamiętać, że podobny charakter miała wówczas cała okolica; mimo prób wytarcia owych śladów całe Beyoğlu wciąż ma wyraźnie widoczny kosmopolityczny rys). Zamiast meczetów stawiano tu kościoły, a nad drzwiami niektórych budynków do dziś dostrzec można emblematy przypominające o nietureckim rodowodzie dawnych mieszkańców.

Ten stan nie utrzymał się długo – wraz z upadkiem imperium i proklamacją w 1923 roku republiki nadeszła fala zmian, która odmieniła oblicze miasta i całego kraju. Stambuł, utraciwszy na rzecz Ankarę znaczenie polityczne, zaczął zapadać się pod własnym

ciężarem, pławić w Pamukowym *hüzün*, rzekłoby się, że jął gnuśnieć. Jak to zwykle bywa, winą za przeszłe klęski chętnie obarczano kulturowych „innych”. Nacjonalistyczny kurs obrany przez modernizatorów kazał podejrzliwie przyglądać się tym, którzy nie wpisywali się w nową formułę tureckości. Wielokulturowe osmańskie dziedzictwo potraktowano jak złośliwego guza na stambulskim cielsku, próbowano różnych – mniej lub bardziej inwazyjnych – kuracji.

Po brutalnych masakrach Ormian z lat 1896 i 1915 przyszła pora na działania dokonywane „w białych rękawiczkach”: w 1923 roku zawarto umowy o wymianie ludności z Grecją, w latach 1941-42 drażniący podatek dochodowy nałożony na niemuzułmanów zmusił do wyjazdu większość pozostałych w mieście ormiańskich, greckich i żydowskich przedsiębiorców. Dzieła nacjonalizacji dokonały pogromy – przez dwa dni, 6 i 7 września 1955 roku, w chwili zaostrenia kryzysu cypryjskiego, Turcy przy cichym przyzwoleniu władz szabrowali greckie mieszkania i sklepy; do kolejnych aktów ksenofobii na podobnym tle doszło w 1964. Z dawnego Tarlabası zostały tylko puste domy.

Wprowadzili się do nich ubodzy migranci z anatolijskiej prowincji, głównie z południowego wschodu kraju – rzadko kiedy wykształceni, często dość konserwatywni obyczajowo, zazwyczaj pozbawieni jakiegokolwiek wsparcia i zdani wyłącznie na siebie. Nad Bosfor przybywali w poszukiwaniu pracy lub dlatego, że w ich rodzinnych stronach zamykano fabryki albo



Tarlabası, ul. Słodkich Migdałów, 2012,
fot. Justyna Chmielewska.

było zbyt niebezpiecznie, by wychowywać tam dzieci. Dystans dzielący Tarlabası od odległego o zaledwie kilkaset metrów Beyoğlu, stopniowo przekształcanego w centrum handlowo-kulturalno-rozrywkowe, rósł z każdym rokiem. Ostatecznego cięcia dokonano w latach osiemdziesiątych, gdy na fali neoliberalnych przemian i wielkomiejskich ambicji burmistrza zrównano z ziemią ponad trzysta najwyżej ulokowanych kamienic. Na ich gruzach poprowadzono sześciopasmową drogę szybkiego ruchu, skutecznie separującą „tanie i przasne” Tarlabası od „drogich, ale nowoczesnych” okolic deptaku İstiklâl.¹⁷

Zdarzały się głosy sprzeciwu, biorące w obronę kulturowo i społecznie upośledzonych mieszkańców, koniec końców jednak łątka obcości, jaka przed laty przywarła do tej okolicy, zadziałała. Poczytajmy Pamuka: „Podczas kolejnej fali wyburzeń w latach osiemdziesiątych znalazłem się któregoś razu w alei Tarlabası i wraz z niewielką grupą gapiów obserwowałem pracę spychaczy. Ludzie zdążyli się przyzwyczaić do trwających od miesięcy prac rozbiórkowych, nie budziły już one większego sprzeciwu czy złości. Maszyny pracowały, mimo siąpiącego deszczu wzbijając w powietrze kłęby pyłu i kurzu, a my, przyglądający się im to z tej, to z tamtej strony, byliśmy poruszeni nie tyle tym, że oto czyjeś domy i czyjeś wspomnienia zostają zrównane z ziemią, ile świadomością, jak kruche i ulotne jest nasze życie wobec niepowstrzymanego rozrostu Stambułu i nieustannych przemian, jakim podlega to

miasto. Gdy z gruzowiska, w jakie zmieniły się zwalone pod ciężkimi uderzeniami mury, dzieciaki wyciągały drzwi, okna czy kawałki desek, zaczynałem rozumieć, że wyburzenia są podobne do utraty pamięci, do której z czasem powoli się przyzwyczaimy”.¹⁸ Przyzwyczaili się zresztą dość szybko – tym bardziej, że nie o ich pamięć chodziło.

Izolowane i podupadające Tarlabası zyskiwało coraz gorszą sławę, ranę infekowały kolejne obce ciała. W latach dziewięćdziesiątych, w momencie zaostření konfliktu, zaczęli się tu osiedlać uciekający przed wojną domową Kurdowie. Bywa, że przechodzi się kilkaset metrów, nie słysząc ani słowa po turecku; na ponaklejanych na murach plakatach często widać drażniące „zdrowe” tureckie oko połączenie kolorów: czerwony, żółty, zielony – barwy kurdyjskiej flagi. Pamiętam dziennikarzy, którzy przyjechali filmować tu demonstracje polityczne – niełatwe zadanie, gdy na twarzy ma się maskę gazową.

Równolegle w siłę rosły skupiska Romów – wielu spośród nich zapewne osiadło tu po zamknięciu słynnych knajp w Sulukule w latach dziewięćdziesiątych. Ich życie w tym „wesołym piekle” przedstawia popularny film *Ağır Roman* z 1997 roku – bohater, rezolutny paser i lokalny watażka, zakochuje się w transseksualnej prostytutce, co prowadzi do wielu tyleż zabawnych, co przygnębiających perypetii. Właśnie, bo poza pchającymi po stromych uliczkach swe wózki ze złomem Cyganami wprowadziły się tu też wówczas te spośród stambulskich dziwek, których nie stać było na wynajęcie pokoju parę przecznic wyżej, w Beyoğlu. I dodajmy jeszcze nielegalnych migrantów z Afryki, te ludzkie cienie snujące się po zakamarkach dzielnicy, które coraz częściej widuje się tu w ostatnich latach. I drobnych dilerów, robiących interesy nocami, gdy w dół zbocza schodzić zaczynają głodni wrażeń klubowicze z okolic alei İstiklâl...

Tarlabası: spacer

Przechadzkę zaczniemy w pępku Stambułu, na jego kragłym, dobrze odżywionym brzuchu, blisko serca i głównych komunikacyjnych arterii zachodniego brzegu Bosforu. Jesteśmy w Beyoğlu, dawnej dzielnicy kolonialnej, na alei İstiklâl, niegdysiejszej Grande Rue de Péra, dziś głównym deptaku, przez który w weekendy przewalają się trzy miliony ludzi dziennie. Starbucks sąsiaduje tu z Burger Kingiem, sklepów z modnymi amerykańskimi tenisówkami jest niemal tyle samo co ufundowanych przez biznesowych potentatów galerii sztuki współczesnej. Ruszamy z okolic słynnego liceum Galatasaray i kierujemy się na północny zachód. Ulica opada w dół, mijamy pasaże z elegancjami restauracjami, potem popularne kluby; ubrani w tanie ciuchy kurdyjscy naganiacze o wygładzonych żelam włosach zapraszają do środka, w uszach jeszcze przez chwilę dudni głośna muzyka. Mijamy „trójkąt

bermudzki” – trzy słabo oświetlone uliczki z pokojami na godziny. Chłopaki z rękami w kieszeniach znoszonych spodni, co parę chwil unoszący do twarzy nerwowo zaciśnięte pięści, to wachacze rozpuszczalnika; nocami lepiej ich omijać – bywa, że robią głupoty. Niewykluczone, że mieszkają tam, dokąd idziemy.

Docieramy do zapory mającej zapobiegać wylewaniu się zarazy, na podobieństwo wiek kolejnych trumien kryjących zwłoki Mickiewicza – do sześciopasmówki oddzielającej górną, „lepszą” okolicę, od dolnej, „zainfekowanej”. Po jej przekroczeniu jesteśmy w Tarlabası. Jeśli pójdziemy nieco dalej w lewo, zobaczymy zaparkowany na stałe przed posterunkiem policji złowieszco wyglądający wóz opancerzony; tureckie państwo lubi przeżyć muskuły. Ale pójdźmy prosto, w dół. Wzdłuż głównej ulicy, opadającej dość stromo, ciągną się sklepiki spożywcze, kafejki internetowe, schludniutkie zakłady fryzjerskie i herbaciarnie; mężczyźni, paląc wyciągane z miękkich paczek papierosy, grają w *tawle* lub *okey*. Uważne oko dostrzeże w uchylonych tu i ówdzie drzwiach na wysokim parterze kobiety (?) ubrane krzykliwiej niż każe obyczaj, z ostrym makijażem. Niektóre mają wyraźnie męskie rysy.

W bocznych uliczkach grupy młodszych dzieciaków grają w piłkę i kapsle; kobiety w ciepłe dni szorują rozpostarte wprost na jezdni dywany, mydliny spływają po zboczu wartkim strumieniem. Na sznurkach rozwieszonych między oknami przeciwnych mieszkań suszy się pranie, z leżących tu i tam stert śmieci co jakiś czas czmycha kot lub szczur. Zimą między budynkami snuje się dym z wątlých piecyków opalanych węglem lub czymkolwiek, co uda się znaleźć (a wielu tutejszych spędza dnie, przemierzając miasto w poszukiwaniu skarbów, które da się później sprzedać, przerobić na coś lub spalić). Ograne obrazki, tak typowe dla miejskich slumsów – może tylko bliskość tego blichtru i tego zbytku, od których odeszliśmy raptem kilkaset metrów, daje do myślenia i każe wyobrażać sobie, co czują mieszkańcy Tarlabası, pracujący „tam, na górze” jako posługacze, pomywacze i naganiacze.

Zejdźmy jeszcze paręset metrów w dół, a natrafimy na odróżniający się od sąsiednich kamienic, pomalowany na białą dwupiętrowy dom. Tablica przy wejściu głosi: „1855-1933. Naszemu wieszczowi Adamowi Mickiewiczowi w rocznicę zgonu Polacy w Stambule”. Dotarliśmy do ulicy Słodkich Migdałów, oto muzeum poety. Wnętrze dość obskurne – łuszcząca się farba, tablice informacyjne z cytatami z dzieł i historycznym komentarzem w szkolnym tonie (wystawę przygotowało Muzeum Literatury w Warszawie w 2005 roku, choć wygląda na starszą). W podziemiu symboliczna krypta i absurdałna figurka płaza opatrzona fragmentem z *Pana Tadeusza*: „Żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”; na piętrach rękopisy, kopie listów, pamięt-

ki, portrety. Ekspozycji dogląda miły, choć nieco sztywny mężczyzna, spędzający płynące leniwie godziny na popijaniu herbaty, rozwiązywaniu krzyżówek, gapieniu się przez okno i oczekiwaniu na zwiedzających, którzy jednak zwykle nie nadchodzą. Przy wejściu, na zamocowanych do rury grzewczej haczykach, wiszą dwie policyjne pałki. Zabrakło mi śmiałości, by o nie spytać.

Ledwie sto czy dwieście metrów dalej, w szczyrbie pozostałej po zburzonym lub spalonym domu, zalega sięgająca pierwszego piętra góra śmieci. To niejedyna taka wyrwa w tkance Tarlabası – im wyżej będziemy się wspinać w drodze powrotnej, tym więcej ich napotkamy. Ale o tym za chwilę, a teraz zejdźmy jeszcze odrobinę w dół, na samo dno doliny Dolapdere. Tu, przy gwarnej uliczce, wzdłuż której raz w tygodniu odbywa się targ, kilka lat temu zbudowano imponujący meczet; w ciepłe dni na jego dziedzińcu, jedynym płaskim placu w okolicy, bawią się dzieci i wylegują psy. Tuż obok niespodzianka, jakoś paradoksalnie grająca – na zasadzie ponurego odwrócenia, piekielnej antytezy – z nędznym, entropicznym otoczeniem: sklepy, ba, przestronne magazyny, w których kupić można sztucznych ludzi, plastikowe ciała bez skazy. Są tu kobiety w lubieżnych pozach, są bezwstydnie nadzy narciarze i pływacy, są niemowlęta, dzieci, psy. Odlewani w setnych kopiach w pobliskich piwnicach, sąsiadujących z zamkniętym na cztery spusty greckim kościołem, stoją cierpliwie w najprzedziwniejszych konfiguracjach, każą dopowiadać scenariusze relacji, jakie mogłyby ich połączyć. Sięgnijmy do onirycznego fragmentu *Czarnej księgi* Pamuka: „Wokół nas trwało zastygłe życie manekinów, które sprawiały wrażenie, jakby z całych sił pragnęły się poruszyć, coś zrobić, działać, ożyć. Z półmroku, z cienia wynurzały się setki twarzy i oczu patrzących na nas i siebie nawzajem. Jedne figury po prostu siedziały, inne coś sobie opowiadały, jadły, śmiały się, modliły; niektóre swoją «egzystencją», w tym momencie tak dla mnie nieznośną, wydawały się rzucać wyzwanie zewnętrznemu światu”.¹⁹ Mowa tu o „dzieciach” mistrza Bediego, który pragnął wiernie odwzorować całą stambulską rzeczywistość, zakląć ją w nieruchomych ciałach, zamrozić – na próżno. „Jego manekiny nie przypominały ludzi z Zachodu, skąd pochodziły modele strojów, lecz miały nasze rysy. «Klient – powiedział jeden z handlowców – nie kupi palta wiszącego na chudym, czarniawym facecie z wąsami i krzywymi nogami, jednym z tych, których dziesiątki tysięcy widuje co dzień na ulicy, lecz chętnie włożyłby na siebie takie, jakie widzi na przybyłym z dalekich, nieznanych krajów nowym i pięknym mężczyźnie, bo wierzy, że dzięki takiemu paltu sam się w niego zmieni, będzie kimś innym»”.²⁰

Figury z doliny Dolapdere nie mają tych mankamentów – w niczym nie przypominają swych wytwórców, harujących w podłych warunkach za minimalną stawkę;



Tarlabası, ul. Adama Mickiewicza, 2012, fot. Justyna Chmielewska.

są doskonale uśrednione, pozbawione jakichkolwiek charakterystycznych cech, w żaden sposób nienaznaczone. Nie noszą tych stygmatów, których od kilku pokoleń nie są w stanie zatrzeć ani ukryć mieszkańcy Tarlabası, są wolne od toczącej ich społecznej choroby. Ich bezczelna obecność tym bardziej niepokoi.

Tarlabası, Sulukule: chirurgia

Wdrapiemy się na wzgórze nieco inną trasą – podążymy ku placowi Taksim, mijając po drodze cygańskie i afrykańskie ulice oraz zaułki dilerów czekających na klientów okolicznych gejowskich klubów. Im wyżej będziemy się wspinać, tym odleglejszy będzie gwar nędznego, lecz mimo to intensywnie wibrującego w dolinie życia. Wstępujemy w przestrzeń na swój sposób zdrętwiałą, bo bezpośrednio sąsiadującą z obszarem poddanym już działaniu anestetyków. Niebawem natrafimy na blaszane ogrodzenie – tu spacer się kończy, dalej się nie przebijemy. Dotarliśmy do miejsca, na którym dokonywany jest zabieg resekcji, ekspresowej miejskiej transformacji.

Na mocy wspomnianej już w kontekście Sulukule ustawy nr 5366 ma zostać wyremontowanych 278 domów na obszarze dwudziestu tysięcy metrów kwadratowych.²¹ Operacja, prowadzona pod dumnym hasłem „odnowy Tarlabası”, miała zakończyć się w 2010 roku; wówczas planowano oddać do użytku pierwsze kwartały ekskluzywnych kamienic – nie tyle zrewitalizowanych,

ile zbudowanych od podstaw w historyzującym stylu. Nowy wspaniały świat nie powstał do dziś – trudne pertraktacje z właścicielami, opór lokatorów odmawiających opuszczenia wynajmowanych mieszkań, protesty obywatelskie i kryzys gospodarczy skutecznie opóźniają zakrojone na olbrzymią skalę prace.

Tymczasem wzdłuż sześciopasmowego bulwaru, ledwie kilkaset metrów od głównego placu miasta, kolejny rok straszą widmowe domy o zerwanych fasadach i wyprutych wnętrznościach. Niektóre przysłonięte są płachtami reklamującymi przyszły raj na ziemi – na wizualizacjach widać zalane słońcem, sterylne czyste ulice, eleganckie kamienice, jakieś drzewka, drogie samochody i ubranych po zachodniemu mieszkańców, jakże różnych od tych, których miejsce zajmą. Pod łopoczącym na wietrze kolorowym płótnem infekcja rozwija się na całego – w szkieletach wypatroszonych budynków piętrzą się śmieci, grasują miejskie zwierzęta. Teren budowy wyznaczają betonowe bloki z eleganckim, stylizowanym na pismo kufickie logo projektu rewitalizacji – kolejna barykada oddzielająca to sąsiedztwo od „zdrowej” części miasta, kolejne trumienne wieko. Jakby osobliwego fatum ciężącego nad Tarlabası nie dało się przełamać, jak gdyby każda próba dźwignięcia tej zapadłej okolicy była z góry skazana na porażkę.

I nie o stambulską historiozofię tu chodzi – raczej o wskazanie na złożony, lecz piekielnie skuteczny mechanizm, zdolny zamrażać oznaczone chorobliwym

piętnem przestrzenie w stanie entropii i skutecznie spowalniać ich rozwój. Tak było zarówno w przypadku Tarlabası, jak i Sulukule: przez dziesięciolecia działała tu – realizowana z porażającą chwilami arogancją – logika leprozorium. Oba coraz mocniej izolowanym od reszty miasta, celowo niedoinwestowanym i silnie stygmatyzowanym sąsiedztwom latami pozwalano degenerować, by w końcu oznajmić, że jedynym możliwym rozwiązaniem jest radykalny zabieg resekcji, a następnie implantacji świeżej miejskiej tkanki.

Dyskusja, jaka rozgorzała wokół opisywanych tu projektów rewitalizacji, pozwala dostrzec przynajmniej kilka poziomów uwikłania owej miejskiej „choroby”. Po raz pierwszy na tak dużą skalę uaktywniły się organizacje pozarządowe i grupy obywatelskie, wypowiadające się w obronie zagrożonych eksmisją mieszkańców. Po raz kolejny powrócił też jednak argument obcości zamieszkujących Sulukule i Tarlabası ciał, po raz kolejny zadziałał miejski system immunologiczny. Wiąże się z tym także inny wątek: niemożności (czy niechęci wobec) upodmiotowienia tamtejszych – raz jeszcze potraktowano ich jako bierny przedmiot działań. Było to tym łatwiejsze, że opisywane tu okolice przyzwyczajono się widzieć jako (symbolicznie, etnicznie, estetycznie) „brudne”, a więc niepożądane w kontekście „sterylnego” obrazu nowoczesnej Turcji, zbudowanej na fundamencie narodowej, kulturowej i językowej homogeniczności. I wreszcie kwestia złożonej stambulskiej historii – pytania o to, czyje jest to

miasto, wlokące przez wieki wielokulturowy (i zarazem imperialny) bagaż, i do czyjej historii się odwołać, budując jego współczesny wizerunek, powracając za każdym razem, gdy natnie się miejski naskórek; przeszłość sączy się wówczas jak limfa.

Przypadki Sulukule i Tarlabası – okolic nieliczących z obrazem Stambułu, jaki pragnęliby oglądać jego zarządcy i większość mieszkańców, a zarazem jakby nieuleczalnie chorych – jak w soczewce skupiają wiele problemów, z jakimi borykają się tureckie miasta. Przez lata dawały tu o sobie znać tarcia kulturowe i etniczne, oczom turystów ukazywało się niedające się zamieść pod nowomiejski dywan ubóstwo. Żyli tu ludzie nienawykli do metropolitalnego sznytu, raczej wieśniacy niż obywatele *city*. To takie miejsca, które – przywołując rozważania Mary Douglas – od lat były „nie na miejscu” i stanowiły potencjalne zagrożenie dla struktury. Nie ma sensu obrona *status quo* – dawne Sulukule i obecne Tarlabası to slumsy, miejsca niedobre do życia, skanseny miejskiej nędzy. Nie przekonuje też jednak pycha architektów nowego ładu, patrzących na miasto jedynie pod kątem ewentualnych przyszłych zysków i zbyt chętnie wysyłających w kolejne dzielnice swe buldożery.²²

To nie pierwsze i nie ostatnie taki kryzysy w Stambule, niejedynie stany zapalne. Jego wciąż rozrastające się cielsko wielu już pożarło, by przetrwać, niektórych wypłuło, innych zgmiotło. O tym mieście trzeba pisać na bieżąco, bez ociągania – miejsca głęboko zakorze-



Dolapdere, 2012, fot. Justyna Chmielewska.

nione w lokalnej narracji i topografii potrafią zmienić się nie do poznania w ciągu zaledwie kilku miesięcy lub zniknąć na amen. Wówczas pozostaje jedynie snucie Pamukowych z ducha, nostalgicznych narracji o świetle, który odszedł i żyje już tylko w pamięci. Tę szaleńczą dynamikę wypada przyjąć jako jedno z dobrodziejstw nadbosforskiego inwentarza. Opowiadajmy więc o Stambule, skoro tak prędko się zmienia i tak krótką ma pamięć.

* Artykuł jest rozszerzoną wersją tekstu, który ukazał się w książce *Inne przestrzenie, inne miejsca. Mapy i terytoria*, red. Dariusz Czaja, Czarne, Wołowiec 2013.

Przypisy

- ¹ Taką metaforę Stambułu pisarka rozwija w swej powieści *Pchli pałac*, przeł. Anna Akbike Sulimowicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, s. 335.
- ² Dzieje tych podróży zebrał i poddał krytycznej lekturze Max Cegielski w książce *Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu*, WAB, Warszawa 2010.
- ³ Nieco bardziej wyważone komentarze na temat obecnej sytuacji dzielnicy znaleźć można np. na blogu www.tarlabasiistanbul.com, prowadzonym przez antropolożkę Constanze Letsch i fotografa Jonathana Lewisa.
- ⁴ O historii dzielnicy pisze np. Hacer Foggo w tekście *The Sulukule Affair: Roma against Expropriation*, „Roma Rights Quarterly” 2007, nr 4, s. 41-47.
- ⁵ Tak noblista nazywa szczególną, wspólną stambulczykowi postać melancholii – poczucie straty i upadku łączy się w niej z napawającym gorzką dumą wspomnieniem imperialnej osmańskiej przeszłości. Por. Orhan Pamuk, *Stambul. Wspomnienia i miasto*, przeł. Anna Polat, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008, s. 129-135.
- ⁶ O. Pamuk, *Stambul...*, dz. cyt., s. 328.
- ⁷ Toplu Konut İdaresi Başkanlığı (TOKİ), czyli Zarząd Budownictwa i Domów Komunalnych, podlega bezpośrednio premierowi Turcji. Został powołany w 1984 roku, w okresie masowej migracji ze wsi do miast, by regulować kwestie budownictwa socjalnego oraz problem nielegalnie budowanych osiedli, tzw. *gecekondu*, powstających we wszystkich większych tureckich miastach. Od czasu dojścia do władzy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju w 2002 roku jego kompetencje zostały znacznie poszerzone – dziś TOKİ, pośredniczące pomiędzy państwem a prywatnymi deweloperami i firmami budowlanymi, jest potentatem na rynku nieruchomości, a działania podejmowane przez ten urząd nie podlegają właściwie żadnej obywatelskiej kontroli, wzbudzając liczne kontrowersje. Por. raport Grupy Doradczej ws. Przymusowych Eksmisji (AGFE) dla Organizacji Narodów Zjednoczonych, *Advisory Group on Forced Evictions' Report to the Executive Director of the UN Habitat Programme*, czerwiec 2009, s. 11-13; www.unhabitat.org/downloads/docs/10008_1_593995.pdf (dostęp: 20 września 2013) lub Ibrahim Gündoğdu, Jamie Gough, *Class Cleansing in Istanbul's World-city Project*, [w:] *Whose Urban Renaissance? An international comparison of urban regeneration strategies*, red. Libby Porter, Kate Shaw, Routledge, Londyn – Nowy Jork 2009, s. 16-24.
- ⁸ „Pospolite ruszenie” miejskich aktywistów w sprawie eksmisji w Sulukule było jedną z pierwszych tak dużych i nagłośnionych medialnie akcji obywatelskiego sprzeciwu wobec działań władz miejskich. W 2007 roku zawiązały się m.in. Sulukule Platformu (Platforma Sulukule), stowarzyszenie ludzi pragnących uświadomić opinii publicznej prawo Romów do zamieszkiwania tej okolicy oraz chcących nagłośnić problemy, z jakimi borykają się w nierównej walce z władzami dzielnicy, oraz STOP (Sınır Tanımayan Otonom Plancılar, Niezależni Urbanisci bez Granic), zrzeszające architektów, planistów i badaczy miasta chcących zaproponować lepsze rozwiązania w sprawie rewitalizacji romskiego osiedla. Mimo że zorganizowali wiele kampanii społecznych i programów edukacyjnych kierowanych do mieszkańców Sulukule i ich sąsiadów, nie zdołali zatrzymać realizacji projektu ani wpłynąć na jego kształt.
- ⁹ Cyt. za Tymon Terlecki, *Śmierć patetyczna*, „Wiadomości” 1956, nr 14-15 (522-523), Londyn.
- ¹⁰ Cyt. aktu zgonu poety za: Stanisław Rosiek, *Zwłoki Mickiewicza, słowo / obraz terytoria*, Gdańsk 1997, s. 160.
- ¹¹ Cyt. za T. Terlecki, dz. cyt.
- ¹² Cyt. za S. Rosiek, dz. cyt., s. 167.
- ¹³ Zob. Zeynep Çelik, *The Remaking of Istanbul. Portrait of an Ottoman City in the Nineteenth Century*, University of California Press, Berkeley – Los Angeles – Londyn 1986, s. 64-65.
- ¹⁴ O. Pamuk, *Inne kolory*, przeł. Anna Akbike Sulimowicz i Tomasz Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 93.
- ¹⁵ Tegoż, *Stambul...*, dz. cyt., s. 269.
- ¹⁶ Tamże, s. 270.
- ¹⁷ Por. Ayfer Bartu, *Who Owns the Old Quarters? Rewriting Histories in a Global Era*, [w:] *Istanbul: Between the Global and the Local*, red. Çağlar Keyder, Rowman and Littlefield Publishers Inc., Lanham – Oxford 1999, s. 33-34.
- ¹⁸ O. Pamuk, *Inne kolory*, dz. cyt., s. 98.
- ¹⁹ O. Pamuk, *Czarna księga*, przeł. Anna Akbike Sulimowicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 86-87.
- ²⁰ Tamże, s. 84.
- ²¹ Por. np. Çağlar Keyder, *Istanbul in a Global Context*, referat wygłoszony na konferencji *Istanbul: City of Intersections* (w ramach programu LSE Cities London School of Economics), Stambul 2009.
- ²² Taki los spotkał nie tylko Tarlabası i Sulukule. Analogiczne projekty rewitalizacji (połączonej z eksmisją zazwyczaj dość biednych mieszkańców) prowadzone są w kilkudziesięciu punktach miasta. Por. *Report to the Executive Director of the UN Habitat Programme*, dz. cyt., lub referat Asu Aksoy *Istanbul's Choice: Openness*, wygłoszony na konferencji *Istanbul: City of Intersections* (w ramach programu LSE Cities London School of Economics), Stambul 2009. Losy eksmitowanych ze swych domów mieszkańców oraz mechanizm funkcjonowania Zarządu Budownictwa i Domów Komunalnych (TOKİ) świetnie opowiada także film *Ekümenopolis. Miasto bez granic*, reż. Imre Azem, Turcja – Niemcy 2011.